

# Szeptane na puszczy

Pewien filozof (zresztą ksiądz katolicki) zwykł oburzać się, gdy zaliczano filozofię do nauk humanistycznych. Argumentów, że jest inaczej wysuwał kilka. Zauważał na przykład, że filozofia wykracza swoimi zainteresowaniami daleko poza obszar tzw. humanistyki, szczególnie tej akademickiej. Przede wszystkim zaś twierdził, że filozofia to coś takiego, co nie jest lub przynajmniej nie tylko jest nauką. Jego zdaniem odpowiedzialnymi za „produktowanie” i rozpowszechnianie tego rodzaju zbyt upraszczających „prawd” są urzędnicy, którzy chcą mieć wszystko do czegoś tam zaklasyfikowane i ściśle (ale po swojemu) zdefiniowane.

Nie inaczej jest z przyrodą i jej ochroną. W świecie urzędniczo-administracyjnym ochrona przyrody jest jednym z arbitralnie zestawionych obszarów zawiadywania, jeszcze jedną tzw. „działką”, którą trzeba objąć swoją kontrolą. Oczywiście za takie przekonanie odpowiada w tym przypadku nie tylko urzędnicza mentalność, silnie jest ono bowiem zakorzenione w czymś, co np. Bill Devall i George Sessions określają jako dominujący światopogląd Zachodu. Potrzeba panowania nad przyrodą i skłonność do hierarchizowania należą do najbardziej charakterystycznych rys tego światopoglądu. Przyroda jest postrzegana przede wszystkim (a może nawet wyłącznie) jako źródło zasobów i innych korzyści dla człowieka. Aparat urzędniczy wydaje się niezbędny dla swoistego „uracjonalnienia” jej eksploatacji. Przy okazji powstaje mnóstwo przepisów, wytycznych, załączników. Odbywają się wizje lokalne i narady. Przyroda to jednak nie jest żaden sztuczny mechanizm, który można wyregulować wedle własnych zachcianek. Jej rzeczywista, naprawdę skuteczna ochrona musi podążać innym traktem, takim, który unika biurokratycznych planów i technokratycznej terminologii. Zwolennicy głębokiej ekologii o tym wiedzą. Trzeba jednak stale pamiętać, aby nie dać zamknąć się w kręgu spraw, które w urzędniczej rzeczywistości określa się jako „ochrona przyrody”. Tego wymaga właśnie ochrona przyrody.

Grzegorz K. Wojsław